



Mirosław Derecki
ŚRODOWISKO LUBELSKIE (3).
VIVANT PROFESSORES!

Od początku 1955 r. „Kamena” z kwartalnika stała się miesięcznikiem. Tak o tym pisała Maria Bechczyc-Rudnicka w jednym z pierwszych numerów: „W r. 1952 „Kamena” K. A. Jaworskiego została przekształcona w organ Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Zmieniła się struktura jej treści, format i szata graficzna. Przejście od czasopisma poetyckiego do periodyku społeczno-literackiego nastęczało sporo trudności, a pochopni sędziowie, miejscowi i pozalubelscy, bynajmniej nam go nie ułatwiali. Skąpe recenzje o „Kamenie” ukazywały się z kilkumiesięcznym opóźnieniem. (...) Wobec tego, że czasopismo kwartalne siłą rzeczy nie nadąza za wartkim nurtem postępu, Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP zabiegał od początku 1954 roku o zezwolenie na wydawanie miesięcznika. Wytrwałe starania odniosły pożądaný skutek: w październiku Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło dać „Kamenie” prawo przekształcenia się z kwartalnika w miesięcznik. Pomyślna ta decyzja, zalegalizowana w lutym br. (1955 r. - M.D.), jest w zgodzie z ogólnym dążeniem do decentralizacji rynku kulturalnego Polski Ludowej”.

Właśnie lata 1955 i 1956 miały wpłynąć na ukształtowanie się profilu „Kameny”, stanowiły okres przygotowawczy do przekształcenia się pisma w dwutygodnik i przejścia na format gazetowy, co nastąpiło w roku 1957. Był to też okres, kiedy bardzo aktywnie dawało znać o sobie na łamach „Kameny” starsze pokolenie tutejszych literatów. Poza Marią Bechczyc-Rudnicką i Kazimierzem Andrzejem Jaworskim stale pisywali: Konrad Bielski, Wacław Gralewski, Stefan Wolski, Włodzimierz Chełmicki, Feliks Araszkiwicz - imając się zresztą różnych form, min. recenzji literackiej i teatralnej, publicystyki kulturalnej i społecznej, a nawet reportażu. Pojawiły się nazwiska Anny Jakubiszyn-Tatarkiewiczowej, Konrada Eberhardta i Zbigniewa Jakubika. Bardzo aktywnie poczynało sobie Koło Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP - prawie w każdym numerze drukowali Zbigniew Stepek, Władysław Ćwik i bardzo jeszcze młodzi - uczniowie lubelskich szkół średnich - Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński. Pojawiały się pierwsze artykuły krytyczno-literackie Zdzisława Jastrzębskiego i Wojciecha Górnego, którzy przygotowywali się do kariery

naukowej. Trzeba jednak zauważyć, że w owych dwóch latach - 1955 i 1956 - stosunki „Kameny” z miejscowym środowiskiem naukowym były nader luźne. Poza, oczywiście, profesorem Feliksem Araszkiwiczem, który pisywał dość często. Ale Araszkiwicz był zarówno naukowcem, jak i literatem, a jego zainteresowania badawcze obracały się głównie w sferze problemów literackich.

Tymczasem lubelskie środowisko naukowe lat pięćdziesiątych było nie tylko prężne i silne, ale także obfitowało w ludzi niecodziennych, czasem trochę dziwaków i oryginałów, których obecność przydawała jasnych barw ówczesnej szarzyźnie Lublina.

Z profesorem Feliksem Araszkiwiczem zetknąłem się za sprawą ... recytacji. Bardzo popularny wśród studentów KUL-u i szalenie przez nich lubiany „dziadzio Araszkiwicz”, wybitny znawca Prusa i niestrudzony propagator jego twórczości, potrzebował kogoś, kto by czytał mu fragmenty utworów autora „Lalki” i „Faraona” podczas spotkań literackich. „Dziadzio” miał wtedy już trudności ze wzrokiem; mówił świetnie i niezwykle zajmująco, ale gdy zaczynał czytać tekst -zaczynał się, gubił wersety i cały efekt dotychczasowej prelekcji diabli brali. Musiał więc mieć lektora.

Towarzyszyłem mu chętnie w tych spotkaniach, bo - po pierwsze - szalenie mi to imponowało, a po drugie - profesor Araszkiwicz był człowiekiem niezwykle sympatycznym i o ujmującym sposobie bycia. Siwiuteńki, drobnej postury, z potężną świecą łysiną i małym wąsikiem, ubrany zawsze ze staromodną elegancją, mieścił się doskonale w naszych młodzieńczych wyobrażeniach o dawnych, „przedwojennych” wykładowcach uniwersyteckich. Wydawało się, że pochodzi jakby z całkiem innego świata i tak zresztą po części było. Rozpoczął jednak studia jeszcze przed pierwszą wojną światową na Uniwersytecie Jagiellońskim, w latach 1915-1918 studiował na Uniwersytecie Moskiewskim, w dwudziestoleciu międzywojennym uczył w lubelskich gimnazjach, a potem przez szereg lat pracował w tutejszym Kuratorium. W roku 1936 otrzymał Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Po wojnie objął katedrę historii literatury polskiej na KUL-u.

Jako naukowiec był profesor Araszkiwicz bez reszty oddany Bolesławowi Prusowi, jako osoba prywatna pozostawał pod urokiem osobowości Józefa Piłsudskiego.

Postacią z podobnego przedziału czasowego był kierownik Zakładu Biologii Ogólnej Akademii Medycznej, prof. Hieronim Jawłowski, zwany przez wszystkich studentów-medyków po prostu „Żuczkiem”. Prowadził badania nad układem nerwowym owadów i często można go było spotkać na podlubelskich błoniach z siatką do chwytania owadów, czy też buszującego wśród traw, w poszukiwaniu „materiału badawczego”. Szczególnie upodobał sobie podczas egzaminów pytanie o budowę układu nerwowego *Geotrupes*, zwanego potocznie „Czarnym żuczkiem”.

Zakład Biologii Ogólnej mieścił się wówczas na pierwszym piętrze kamienicy przy ul. Królewskiej 15. Profesor Jawłowski, drobny, szczupłutki, siedział w czasie egzaminu zapatrzony gdzieś w przestrzeń zaokienną, zagłębiony we własnych rozważaniach, jakby zupełnie wyobcowany z rzeczywistości... I tylko co pewien czas przerywał potok wymowy egzaminowanego wciąż tym samym pytaniem: Aha, dobrze, dobrze, a teraz może mi pan powie, co pan wie o „Czarnym żuczku”? Biada temu, kto skorygował profesora, że właśnie przed chwilą udzielił na ten temat wyczerpującej odpowiedzi. Wszyscy wiedzieli dobrze ze studenckiej „giełdy” egzaminacyjnej, że należy jakby nigdy nic, zacząć mówić od nowa. „Żuczek” bardzo lubił kolor błękitny, więc przychodziło się do niego w niebieskich koszulach, a dziewczęta wkładały niebieskie bluzki lub sukienki. Kto nie miał czegoś błękitnego, przed wejściem do gabinetu na gwałt pożyczal od współtowarzysza sesji szczęśliwy „talizman”. Nie znosił natomiast „Żuczek” sportowców, a do szafy doprowadzało go, gdy ktoś przyszedł na egzamin (zdarzały się w tamtych czasach takie wypadki) w szortach. Kiedyś przy takiej okazji wypadł zza biurka, wyciągnął na środek gabinetu ogromny fotel i zawołał do zdetonowanego delikwenta: Proszę przeskoczyć natychmiast przez fotel! Ja żądam! Ja wymagam! A dopiąwszy swego, oznajmił triumfalnie: Dziękuję panu. Egzamin z gimnastyki skończony Teraz pan pójdzie do domu, włoży długie spodnie i przyjdzie znowu, na egzamin z biologii!!!

Niezwykle elegancki i wytworny profesor Stanisław Liebhardt, kierownik Kliniki Położniczej AM, poza tym znawca i wielbiciel teatru, który nie przepuścił żadnej lubelskiej premiery, zajmując niezmiennie od lat to samo miejsce w pierwszym rzędzie parteru, był typem lekarza-Europejczyka starej daty. Tym większe sprawiał na studentach wrażenie, gdy w swym nienagannym garniturze i w finezyjnie do niego dobranym krawacie, demonstrował podczas wykładu położenie płodu w łonie matki, używając jako modelu - siebie samego.

Bił jednak wszystkich na głowę prof. Mieczysław Stelmasiak, wykładowca anatomii. Jak większość wykładowców tego przedmiotu, lubił on wkraczać na salę w licznej asyście wystrojonych w śnieżnobiałe fartuchy starszych i młodszych asystentów, którzy stanowili odpowiednią „oprawę” wykładu. Najbardziej akcentującym momentem owego „teatrum anatomicznego” był jednak jego „finał”. To znaczy ten moment, gdy prof. Stelmasiak, zakończywszy dwugodzinny opis np. budowy jamy ustnej czy też przebiegu dwunastu par nerwów głowowych, wspierał się swym masywnym ciałem o katedrę i tocząc wzrokiem po sali, rozpoczynał odpytywanie: Caaavum oriis... rozpoczyna się - Ostatni po prawej!!! Siedzący na ostatnim miejscu, w ostatniej ławce po prawej stronie sali Collegium Anatomicum, powinien był na to zerwać się i wyrecytować bez zająknięcia dalszy ciąg opisu anatomicznego. Zazwyczaj plątał się, mylił polskie i łacińskie nazwy, a profesor uśmiechał się

szatańsko - ale jednak dobrotliwie - zadowolony z wywołanego wrażenia. Niech wam się nie wydaje, że anatomia to coś łatwego!!!

Niezwykłą postacią był na Wydziale Weterynarii w Lublinie profesor anatomii topograficznej, Stefan Lutnicki. Z usposobienia choleryk, dostawał szału przy każdej złej odpowiedzi, sesja egzaminacyjna była dla niego prawdziwą szarpaniną nerwów, natomiast rodzajem kina i cyrku dla studentów, którzy wybaczaali mu nawet sypiące się na prawo i lewo oceny niedostateczne, lecz za to w jakiś sposób i przy jakim „ceremoniale” stawiane! Prof. Lutnicki potrafił zaskoczyć zdającego takimi „niepodręcznikowymi”, ale zmuszającymi do myślenia pytaniami, jak na przykład: Co to jest głowa? Tutaj zawodziło wykucie się na pamięć. Trzeba było myśleć, analizować, wyciągać wnioski, dawać swoją interpretację. Inna sprawa, że prof. Lutnicki był chimeryczny i nigdy z nim nic nie było wiadomo... Dręczył na przykład egzaminowanego pytaniem: Do czego służy kręgosłup? Delikwent pocił się, dwoił i troił w odpowiedziach i wciąż słyszał ulubione określenie Lutnickiego: Bieeznadziejnie...! A poprawne wyjaśnienie brzmiało: Kręgosłup służy do tego, żeby dupy na szelkach ale nosić.

Najwyższy stopniem wojskowym wśród lubelskiego świata nauki był profesor chirurgii i ortopedii na Wydziale Weterynaryjnym, pułkownik w stanie spoczynku Franciszek Klepaczek. Przed wojną sprawował przez wiele lat funkcje, naczelnego lekarza weterynarii w Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu. Zachował z tamtych czasów kawaleryjski wąsik, wojskową postawę oraz upodobanie do bryczesów i wysokich butów do konnej jazdy. Wobec piszącego to słowa zachowywał zawsze stosunek dobrotliwy i wyrozumiały, a moje pierwsze próby pisarskie i rozdarcia weterynaryjno-artystyczne kwitował uśmiechem: No cóż, kolego, ja was rozumiem, Żeromski też początkowo studiował weterynarię i też się na coś w końcu musiał zdecydować. I się zdecydował, i dobrze. Bo weterynarz pewnie by z niego był żaden, a pisarz - o ho, ho! Mało kto wie o tej cichej dumie, jaką lekarze zwierząt, postponowani w świecie lekarskim nieraz jako „końscy psychiatrzy”, żywią z powodu Stefana Żeromskiego, który o mały włos, a byłby jednym z nich...

Każda uczelnia i każdy wydział miał swoich uwielbianych lub nielubianych, „niezwykłych” lub całkiem przyziemnych profesorów. Ale słuchaczy wszystkich uczelni - i trwało to przez wiele lat, a może nawet ciągnie się do dzisiaj - łączyły sympatia i podziw dla intelektu oraz niezwyklej, złożonej osobowości prof. Grzegorza Leopolda Seidlera z Wydziału Prawa UMCS, wieloletniego rektora tej uczelni. „Grzesio” - bo tak go pieszczotliwie nazywała większość studentów - wybitny znawca historii doktryn politycznych i prawnych, erudyta i świetny wykładowca, autor wielu książek i podręczników uniwersyteckich, był i jest nadal osobą tyleż barwną i niekonwencjonalną, co przyjazną ludziom. Ja jestem rektor-chuligan - zażartował kiedyś w wywiadzie udzielonym Romualdowi Karasiowi. Oczywiście przyznawał się w ten sposób do niekonwencjonalnych

nieraz chwytów, jakie musiał stosować, aby wyděbić od władz przydziały kolejnych funduszy na budowę jego ukochanego Miasteczka Uniwersyteckiego - jak zwykł mawiać: Lubelskiego Harvardu. Kiedy spotykam go na ulicy, zawsze emanującego radością życia i przyjaznym stosunkiem do świata, gdy widzę jego niezmienny, elegancki kapelusz „eden” oraz ciemną lub popielatą jesionkę, jawią mi się zaraz niezapomniane momenty z życia lubelskiego środowiska studenckiego, naukowego, kulturalnego.

Nie wiem, ile w tym procent prawdy, ale do jednej z najpiękniejszych opowieści o dowcipach, jakie zwykł być robić prof. Seidler w okresach swego rektorowania na UMCS, należy ta, która głosi, jak to w drugiej połowie lat pięćdziesiątych profesor przysłał z Londynu depezę zredagowaną w sposób krótki i lapidarny: „Rektorat i Senat UMCS w Lublinie, Plac Litewski 5. WYBRAŁEM WOLNOŚĆ. STOP. GRZEGORZ LEOPOLD SEIDLER. STOP”.

Na uniwersytecie zrobiła się piekielna afera, miał się zebrać Senat uczelni, aby postanowić kolegialnie (!!!). co począć „z tym fantem”. A na drugi dzień pojawił się w rektoracie... sam nadawca telegramu, zaśmiewając się do rozpuku: No co, no wybrałem wolność, czy nie wybrałem, jestem z wami, czy nie jestem?

Potrafił profesor Seidler żartować, potrafił uczyć i budować, umiał też opanować studencki tłum, gdy ponosiły młodzieńcze temperamenty. Jak wówczas, gdy stanął na czele sformowanej ad hoc manifestacji, której uczestnicy domagali się poprawy ogrzewania w domach studenckich i ciepłej wody do mycia. Poprowadził, setki studentów spod rektoratu w centrum Lublina aż do Dzielnicy Uniwersyteckiej, a co tam obiecał, zrealizował w ciągu trzech dni.

Nie stronił nigdy od uciech podniebienia. Bywalcy restauracji „Powszechna” nieraz widzieli go w dawno już teraz nie istniejącym słynnym „kąciku”, w pobliżu obficie wówczas zaopatrzonego w zimne zakąski bufetu.

Po latach, kiedy odszedł na pewien czas z Lublina, odwiedziłem go w Londynie, gdzie piastował właśnie stanowisko dyrektora Instytutu Kultury Polskiej. Poznał mnie od razu, choć nigdy nie byłem jego studentem, a tylko działałem w studenckiej kulturze, i swoim zwyczajem zwrócił się do mnie „na ty”: No widzisz, gdzie Lublin, a gdzie Londyn! Jak tam w Lublinie, co? Żal Lublina, Żal... Co to Londyn? Miasto jak miasto. A tam był Uniwersytet, była młodzież, był „polski Harvard”. Tam to były czasy, co?